

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 30 września 1916 roku.

Nr 40

Nawracanie Judasza.

Z głębin dramatu moralnego, przez jaki przechodzi każda współczesna, świadoma jednostka, wyrwał władnym swym piórem Stefan Żeromski postać Ryszarda Nienaskiego. Jest to jeszcze jeden „bezdomny“, typ inteligenta polskiego, którego dzieje zainteresowują i zmuszają do współczucia. Niekiedy nawet dzieje te nabierają barwy ogólnej, rozrastają się w troski pokolenia, mierzą się z wszystkimi tymi ideałami i bożyszczami, którym ludzkość składała przed wojną w hołdzie ofiary. W promieniującym, arcyludzkim sercu Ryszarda Nienaskiego każda prawda moralna czy naukowa załamie się w dogmat osobistej sprawy. Jak on przeboleje marxizm, jak przeżyje teorie syndakalizmu, jak wreszcie w wędrówce swego żywota rozpocznie budować swą własną religię współczucia i miłości!

Stefan Żeromski z racji tej postaci pokaże znów całą galeryę ludzi — ale są oni tylko tłem, na którym rysuje on swego bohatera, by obnażyć do cna jego arcyludzkie cierpienie, jego niesamowitą troskę o szczęście. Ryszard Nienaski jest potomkiem historycznego, szlacheckiego rodu. Rodzice już jego byli biedni. Sam musi się dorabiać wykształcenia wyższego. Przychodzi to z trudem, gdyż zwyczajem niedawnym jeszcze większość młodzieży musiała swe studia przerywać dla odsiadki w kar administracyjnych lub śledztw żandarmskich. Nienaski nie uniknie tego losu. Jest nawet pod tym względem typowym przedstawicielem inteligencji polskiej, która swe studia nietylko wyższe odbywała między ławą uniwersytecką a więzienną.

Pokolenie tej inteligencji wydało jednostki dzielne i hartowne. Żłobił oni twardą glebę polskiego istnienia, uważając los swój za przeznaczenie dziejów. Budzili z martwych ducha, budowali dzieła ciche, maluczkie, ale nie pozwolili, by zamartwił ogień u zniczy ofiarnych Polski wolnej i niepodległej. Nienaski tą troską jest wypełniony po brzegi. Troska ta zrosła się z jego organizmem. Czynić chce wszystkim dobrze, by przez swój czyn odkupić siebie i zbogacić dorobek kulturalny swego narodu.

Nienaski wstąpił na medycynę w Moskwie. Tu pocznie zbierać koło siebie polaków i galwanizować w nich uczucia, troski i myśli swoje. Pocznie pasożytować na nim cała zgraja wyzyskiwaczy, karyerowiczów i zwykłych chodzików. Zobaczymy Ryszarda później w Paryżu na architekturze. Zmienił rodzaj zainteresowań, chcąc otrząsnąć proch ze wspomnień i doświadczeń na gruncie moskiewskim. Wziął się za studia, ale jakże tu tylko patrzeć w modlitwie na kształty cudnej Notre-Dame, gdy tysiące polaków na bruku paryskim mrze z głodu. Znów wraca stary szatan-kusiciel. Odda mu się Nienaski, walcząc z nędzą polską. Chce ją podźwignąć, uratować, chce ją moralnie odkupić.

Zobaczymy jeszcze Nienaskiego w podróży po zakątkach Francji, Anglii, Włoch i Wschodu, gdzie wzrok swój napawać będzie cudami architektury. Przypadek zrządzi, że dostanie nagrodę na konkursie w Polsce, otrzyma we Florencji pieniądze i wróci do kraju. Tu niebawem pojedzie do maleńkiego miasteczka Posuchy. Zacznie odbudo-

wywać starą wieżę aryańską, zabierze znów w pracy społecznej, urządzając dla chłopstwa i mieszczan odczyty, pogadanki, organizując ich moralnie, wskazując drogi materialnego usamodzielnienia. I to zmusi go, że opuści Posuchę. Wróci do Warszawy, zacznie pracę u jakiegoś architekta i utonie w rozmyślaniach swoich i troskach. Wyrwie Ryszarda z tego koła myśli znajomość, którą zrobi przez panie posuchowskie. Pozna Ksenię i zostanie zelektryzowany. Rozszaleje się w nim żywioł miłości. Zjawia się niespodziewanie i późno. Ryszard jest już człowiekiem, który zmierzył całe światy myśli, który widział zbrodnie i cuda cywilizacji. Dotychczas myśl niespokojna nie spoczęła na kobiecie. Teraz wyczarowała się, okrasila wszystkimi blaskami i skarbmą uczucia. Miłość to dziwna, prawie nieprawdopodobna, jak każda miłość.

Ryszard chciałby Ksenię podnieść na te szczyty wewnętrznego bytowania, na których sam przebywał. Spotyka się z miłym, zalotnym, lecz chłodnym uśmiechem. Ksenia jest śliczną i miłą stworzeniem, lecz żyje ona żądzą złota. Pragnienie to ją pochłania. Patrzy przytem na świat ze strony pobłażliwej. Gotowa jest na wszystko, byle kaprysowi swemu zadośćuczynić. Odjedzie od Ryszarda, choć złoży jej u stóp swe serce, rubinową krwią miłości ociekające. Pojedzie nad jasne brzegi Rivieri szukać szczęścia i zdobyć sobie ojca, utracysza i paryskiego kombinatora, jedyną swoją świętość.

Ryszard zostanie sam ze swoją królewską tęsknotą. Rozrośnie się ona w nim w bajkę, w poemat, w nieślabnącą udrękę. Wśród gór zakopiańskich, na samotnych turniach zacznie leczyć swe serce chore. Spotka się wreszcie z zakonnikiem, zmierzy się z religią, pokorą, wejrzy w

świat klasztorny i odejdzie i stąd. Fascynujące piękno czarnookiej Kseni zahypnotyzowało jego duszę. Zbawić jej nie może kontemplacja. Tylko czyn odradza człowieka. Spotkamy więc Nienaskiego w drugiej powieści Żeromskiego p. t. „Zamieć“, gdzie gorączka złota i w Nienaskim stanie się głosem sumienia społecznego, surmą, wołającą na pomoc dla Polski. Pod maską tą ukryta jest jednak tęsknota za Ksenią.

„Nawracanie Judasza“ jest pierwszą bowiem częścią dzieła Żeromskiego, którego ogólny tytuł ma mówić o „walce z szatanem“. A szatan ten, to „niewzruszone zło przez wieki i na wieki między ludźmi ufundowane, niekczemne krzywdy, które człowiek stwarza i nazywa cnotami, podłości i oszustwa, z których bezczelne a wieczyste prawa są ukute“ (Str. 225). Z temi kamieniami-zawahidrogami spotka się Nienaski w walce o prawdę swojej duszy.

„Nawracanie Judasza“ — ciągła, nieustanna troska, by nie uleść kłamstwu i złudzeniom współczesnej, konwencyjonalnej frazeologii o pięknie i prawdzie, w Nienaskim znajduje pryzmat, rozkładający nawet słońce na promienie. Trudna to więc jest rzecz iść śladami takiej nieustannie doświadczającej, prawdziwej duszy. I z tej racji powieść Żeromskiego — to nie fabuła. Piękno jej i dostojność mieści się w bezgranicznym ukochaniu człowieka i jego doli, w pragnieniu podźwignięcia go i ratowania z nędzy i niedoli. I rozkaznik Żeromskiego mówi głosem stężałym w bólu:

„Pracować w duchu, jak cyklop, — stwarzać pracę i wiedzę dla tysięcy — dawać ze siebie, jak ze źródła, wodę życia milionowi! To śmieszne! To — patos! Ależ śmieszne dla stu tysięcy kup żywego robactwa! Śmieję się, kołtunie, który się nazywasz tak, czy inaczej, który tworzysz politykę, sztukę, literaturę!“ (Str. 208).

Czyż na słowa takie można formułować jakieś zarzuty? Bo cóż z tego, że może się wydać dziwną sceną między Nienaskim a policyjantem w Paryżu, gdy zlorzeczy mu, jako przedstawicielowi oficjalnej Francji, iż dzieciom swoim pozwala marnować życie na chłodzie i słońcu, a znajduje miliardy na podtrzymywanie reakcji i ujarzmianie innych ludów? Krwawiący pozostawia znak zapytania, choć... cóż może uczynić biedny policyjant w bogatej Francji, zapewne tyle, co i gdzieindziej. Ten jednak rytm wezbranego uczucia, fala współczucia czystego, jak słońce, tak przesycą prozę Żeromskiego, że gra niemal mocą Piastowiczów. Jej

zyk Żeromskiego czarodziejski i władny śpiewa wszystkie tajnie ducha polskiego.

„Nawracanie Judasza“ jest jedną z tych ksiąg, które odczytywać się winno w skupieniu i nie gwoł... zapomnienia o wojnie. Na dziejach Nienaskiego można, jak na kanwie, odtworzyć te pytania, zwątpienia i miłości, które, jak sęp dzisiejszej cywilizacji, pożerają człowieka współczesnego.

Adolf Nowaczyński.

Pułaski w Ameryce.

2

TOMMY: (*Przerywając młeczenie:*) Tak... Tak to jest na tym świecie... (*Gwiżdże*).

BOB: (*Delikatnie:*) Powiedzcież sierżancie... choć cokolwiek... z łaski...

VANDERWILD: (*Odsunął się o krok, chusteczką po oczach przesunął:*) Co ja wam powiem szczury wodne?... Co ja wam powiem... Generał był sławny... Cudzoziemiec... (*Głos mu uwiązł w krtani:*) Polak... Polak...

BOB: To nie Sakson?...

(VANDERWILD: *przeczy głowa*).

TOMMY: Aha! To francuz?... Tak?...

JACK: (*Niecierpliwie:*) Ależ nie francuz, ciełący flaku! Słyszaleś przecież... Polak... To co innego, rozumiesz?... To taki, jak ten szpakowaty, co jedzie z nami! Ten co był królem Madagaskaru, głowo nieoświecona. Też polak... (*Do Vanderwilda:*) Prawda sierżancie?

VANDERWILD: (*Opart się o burte, glucho:*) Prawda, chłopcze...

TOMMY: Szkoda go... (*Szyjąc:*) Zawsze szkoda. Młody był. Nie wiem, czy dojechał trzydziestki... Wcześniej mu się urwało...

BOB: Gorączka nim rzuciła straszecznie... Trzeba go było trzymać, tak ciskała... Zakaziła się krew temu generałowi polskiemu.

JACK: Z nami jedzie trzech takich, co są nieboszczyka rodaczni... Bardzo smutni są!... Aż żal patrzeć na nich... Nie mówią do siebie ni słówka, ci polacy.

BOB: (*Do Vanderwilda, wskazując na stół:*) Ale takiemu to musieli dużo płacić? Co?... że mu się opłaciło przez wielką bajorę, aż tu jechać do Stanów. Baryły dolarów chyba, co?

Nawrócić jednak trzeba w sobie Judasza, stoczyć walkę z szatanami, by stworzyć pracę i wiedzę dla tysięcy, by dawać z siebie, jak ze źródła, wodę życia milionowi.

I kto ma odwagę tego zażądać od siebie — niech się wczytuje w dzieje tragiczne życia i myśli Ryszarda Nienaskiego.

Eustachy Czekalski.

Pięć obrazów dramatycznych.

VANDERWILD: (*gorzko się uśmiecha, przeczy głową*).

BOB: Nie. Nie tak dużo? (*Niefając:*) Ech, jakby nie dużo, toby przecież nie jechał bić się, nie za swoje!

TOMMY: Głupiś Bob! Nie za dolary się tylko ludzie biją, ale dla sławy! rozumiesz! By sławę mieć!

BOB: (*Kpiąco:*) Za sławę? A co za sławę dostaniesz, stary?... Kupowałeś co za sławę? haha... Bić się nie za swoich; ale za obcych, to wedle mego rozumienia, całkiem głupio... he?... Ba, nawet to zbrodnia bić się nie za swoich... Nie?...

TOMMY: (*Wzgardliwie:*) Co ty dudku piegowaty wyplatasz? Co się na tem rozumie taki...

JACK: A tak. Byś sobie wiedział, stary grzybie! Ja tak samo myślę... Co sława? Co jest sława!... Gdzie jest sława? Sława, to jest dzień! Rozumiesz? Za dużo jest już sławnych na świecie, żeby sława coś wartała. O... żeby było dziesięciu sławnych, nooo, dwudziestu... a choćby do kroćset dyabłów, stu... Ale tak?... (*Szyje dalej*).

BOB: (*Kpiąco:*) Jasna rzecz! Oczywiście! Sława! A ty pamiętasz stary choć wszystkich generałów co się teraz od pięciu lat wstawili... No, pamiętasz?... (*Wskazuje na Vanderwilda:*) Nawet pan sierżant pewnie nie pamięta... Nie wyliczyłby... (*Wskazuje na indyanina w przodku:*) A ten nie jest może sławny? „Biały Sęp“. Cała Ameryka, cały świat o nim wczoraj jeszcze ze zgrozą gadał, z uszanowaniem...

JACK: A teraz jedzie w dybach na szubienicę... Haha... Sławny Sachem... Haha... Hetman rudoskórych.

BOB: A ja się upieram przytem, com mówił! To zbrodnia względem swoich, dla innych wojować! Jednej

siły dla swoich wtedy mniej! Rozumiesz Tommy! Jakby się tak wszyscy u nas rozeszli ze Stanów... po świecie... dla sławy. Co?... Toby Brytanie dopiero tu rządziły! To byś dopiero stary czopie za herbatę płacił!... Hoho! (*Spluwa w bok:*) Zbrodnia!... i kwita! Słyszeliście kiedy, by się jaki Saxon nie za swoich bijał?... Co?... powiedzcie! (*Do Vanderwilda:*) Panie sierżancie! Bił się kiedyś jakiś człek, co po brytańsku mówi nie za swoich? nie za matczyzną i ojczyzną swoją tylko?...

VANDERWILD: (*Wzrusza ramionami, przeczy głową, cicho:*) Nie...

BOB: (*Radośnie, do Tommy:*) A widzisz? Nie!

TOMMY: (*Miękko, bez przekonania:*) Za obcych można się bić, żeby ich wdzięczność uzyskać. Wdzięczność dla siebie i dla swoich...

JACK: Aha! Tędy go wiedli teraz. Wdzięczność. (*Kpiąco:*) A tyś wdzięczność, stary, widział kiedy? He?... Jak ją zobaczysz, to przyjdź, mi powiedz i pokaż... Pójdziemy potem na czarne piwo... z pianką... Hahaha... z dziewczynami... Haha...

(JACK, BOB: roześmiej się w głos. Nawet TOMMY skrzywił się weselej. — SIERŻANT VANDERWILD: pośpiesznie stoi niewzruszony).

BOB: (*Do Vanderwilda po chwili, spozierając nań ze współczuciem:*) A co wy sierżant tacy smutni i smutni... Musieliście bardzo lubić nieboszczyka... Tak?...

(JACK, BOB, TOMMY: znów spojrzeli na Vanderwilda).

TOMMY: (*Do Jacka:*) Jack, przynos smołę... Trza zalewać...

JACK: Idę... idę... (*Biegnie w stronę beczułki ze smołą:*) Czas, już czas. Ja sam wiem.

TOMMY: (*Do Boba, wskazując na leżące ciało:*) Obracamy Bob, i na deseczkę...

BOB: (*Pogodnie:*) Na ostatnią ławeczkę... Co?...

(OBAJ delikatnie, ale mocno przewracają ciało i przesuwają na długą, czarną deskę już przygotowaną. JACK małą beczułkę przydźwiga aż w pobliżu stołu; przechodząc koło indyan siedzących na pokładzie i pykających z fajki, pokazuje im język).

TOMMY: (*Równocześnie do Vanderwilda:*) Jeżeliście sierżancie bardzo lubili waszego generała, to powinniście się właśnie radować, że tak się stało... a nie inaczej... Ostrożnie Bob... Powoli, węgorzu śmierzdzący... (*Do Vanderwilda:*) Tak widziecie będzie sobie leżał czysto... pięknie na dnie Oceanu... o! a nie przytło-

czony waszą ohydą glina... (*Z odrązają:*) Co?...

(JACK: podchodzi ze smołą i zaraz potem OBAJ z BOBEM zaczynają w niektórych miejscach smarować szwy pędzlami maczanymi w smole).

TOMMY: (*Odwracając się do:*) Pomyślcie ino! Jakaż to różnica! jak to szczęśliwy los... Ja bywa nocami czasem budzę się spocony ze strachu, bo mi się śni, że mnie w ładzie brudnym grzebią a nie w czystej, słonej wodzie... Pomyślcie jeno sierżancie Vanderwild! Z jakim to paskudztwem ma się do czynienia tam w ziemi! A jak to tam... (*Wskazuje za parapet:*) ładnie to się dzieje z człowiekiem, z nieboszczykiem. (*Mlasnął językiem:*)... He?

JACK: (*Śmiejąc się:*) Ej, pleć, stary wilku, pleć... (*Do sierżanta:*) Tommy myśli, że wszystkim się tak macą w głowie, gdy po ziemi twardej chodzą... Stary, wie pan sierżant, dostaje mdłości, gdy tylko niechwiejny grunt uczuje pod nogami.

TOMMY: Gadać zdrów, śpiczaku młody... (*Wskazuje na stół:*) Ot, lepiejbyś smoly twojej pilnował... (*Do Vanderwilda, z zadowoleniem:*) Na dnie morskiem daleko, daleko zacniej sierżancie! honorowiej... Jak tam poleżycie tydzień, dwa, to się was na początku boją żyjątko morskie, boją... potem się z wami oswajają, zapoznają i zaczynają sobie różne takie na cadaver siadać...

BOB: (*Wesoło:*) Kwatery zakładać... Haha...

TOMMY: Tak. Tak... kwatery zakładać... Najpierw jedno... potem drugie... trzecie... cały ogródek... Takie piękne, różowe grzyby cię porosną, taka jasno fioletowa...

JACK: Trzęsionka z galarety... Haha...

TOMMY: Tak... Taka piękna, przezroczysta, fioletowa powłóczka cię otoczy... potem takie różowe rozgwiazdy się przypną... i znów takie, takie pęczuszki śliczne, żółte, włochate...

JACK: (*Naśladując zachwycenie Tommy:*) Potem takie skorupiaczki mocne się przyssa... Co?... Ośmiornice!...

TOMMY: A także... a także... Cóż strasznego? Może nie śliczne? A potem takie algi cię oplączą! wodrośty takie długie, długie, zielone, szmaragdowe... Ach, ludzie, ludzie! nie macie pojęcia, jakie to piękne!...

BOB: Ehe... Ehe... Widziałeś, że piękne, stary?...

TOMMY: (*Zirytowany, nagle:*) A żebyś sobie wiedział, żem widział, głąbie jeden! żebyś sobie wiedział!...

Raz było wyciągnęły nurki takiego umrzyka, co już z roczeń bezmała na dnie morza leżał... (*Z zachwytem:*) Ludzie! ludzie! Toż to było na co patrzeć... do wanny go jednej wrzucili, żeby oglądać... Toż myśmy odchodzić nie chcieli, tylko patrzyli i patrzyli wybaluszonymi ślepiami. Tak... tak... Stary Tommy też... A jakże... Byłem... byłem... widziałem... A jakże...

JACK: (*Do Boba, twardo:*) Licha smola? co?...

(*Miedzy INDYANAMI od chwili już zawrzał spór; teraz najmłodszy zerwał się na nogi i chce drugiego kopnąć nogą spętana tańcuszkiem, wobec czego i DRUGI zerwał się na równe nogi. Kłóca się i szarpia.*)

BOB: (*Do Jacka:*) A licha... Ta-ka, jakąś przyniosł... ale trzyma.

TOMMY: Trzyma. Trzyma. Nie- ma co grymasić... Szkoda lepszej... Lepsza się przyda do lin chłopaki... Dobra taka... (*Do Vanderwilda:*) No, panie sierżant! Rozpogódźcie wasz front!... Niema się co gryźć. Tak lepiej... Zazdroście raczej, że mu tak przypadło.

BOB i JACK: (*Swobodnie:*) Pewnie, pewnie! Wszystkich nas to czeka... Wcześniej, czy później...

JACK: Przed Brytanami możesz uciec każdy, przed śmiercią nigdy... Tak, tak...

VANDERWILD: (*Otrząsając się ze smutku, energiczniej:*) Tak, tak... Może prawdę mówicie... Ale jak tam z robotą?... Można już będzie prosić? Gotowe?...

BOB: (*Opuuszczając rękawy:*) Gotowe! Gotowe!... Teraz my się pójdziemy przemyć i oporządzić. Możecie sierżancie iść zameldować.

(*W głębi z za fock-masztu pojawiają się obie Siostry z Betlehem: ANGELIKA i DENIZA. Blade i zapłakane, spostrzegłszy z za masztu kończące się roboty, przerażone co nieco, tulą się do siebie, nie odważają się kroku naprzód uczynić. Jeno patrzą ze smutkiem.*)

(VANDERWILD: zbliża się jeszcze do stołu, staje i pochyla zbożnie nad ciałem).

TOMMY: Ja tu jeszcze zostanę... bo ja muszę pętle sznurów obwinąć koło tego szczęśliwca... Wy sobie idźcie... Ino mi wraz wracać... (*Zabiera się znów do roboty.*)

JACK: (*Rękawy koszuli opuszczając, do Vanderwilda:*) Ostrożnie sierżancie Vanderwild, bo się zawalacie smolą.

BOB: (*Już przy schodach:*) Idziemy Jack... idziemy...

(VANDERWILD: pocałował nie-

znacznie płótno i powoli, ciężkim krokiem zmierza ku schodkom).

(MOHIGANIE: stoją teraz przeciw sobie zaperzeni, dyszący, groźni i już, już mają się rzucić ku sobie z pięściami. — VANDERWILD przeszedł koło Boba i schodzi schodkami w dół statku. — SIOSTRA ANGELIKA i DENIZA spłoszone patrzą z za fokmasztu).

JACK: Idę, już idę Bob... Czekaj... (Nagle spostrzegła indyan, stojących jakby w bojowej pozycji przeciw sobie, z radością:) Hola! A to co znowu? Co tam będzie? (Przystępuje bliżej, krzykliwie:) Tommy! popatrz no się, jak to twoi ulubieńcy powadzili się ze sobą... Hahaha... (Przystępując bliżej nich, z krzykiem:) A toż nie zatracone plemię?... Widział kto coś podobnego!... W łańcuchach skute, a łańcuchami chcą się kopać... (Uradowany, do Tommy:) Patrzcież się mili... (Odepchnął brutalnie jednego od drugiego, tak, że „Sokole Oko” potknąwszy się, upada na ziemię:) Patrzcie... o... w kajdanach są... niewolniki, więźnie, galerniki! skazańce, a jeszcze się sobacze juchy żrą ze sobą... (Dłonie aż splótnęły ze zdumienia:) I możnaż to mieć ociupinę serca, czy poważania dla takowych samojedów?...

TOMMY: (Machnął ręką, wzgardliwie:) A niech się za lby wodzą... Co tobie do tego! Daj im spokój!...

JACK: (Zaciekle, znów rękawy kurtki zakasuje:) Spokój im mam dać, spokój? (Do Boba wesół:) Ja im dam smołę po zębach, to będzie spokój... Bob! dawaj tu barylę ze smołą. Chyżo! Ja im gęby wytatuuję cokolwiek... Czekajcie!...

BOB: (Poskoczył do beczki rażno:) Zaraz Jack. Bardzo słusznie! Niech te pawiany powachają raz tego miodu, w którym ich dyabły w piekło smażyć będą... (Dźwiga beczkę bliżej).

TOMMY: Ej, chłopaki, chłopaki... Macie iść się myć...

JACK: Zaraz idziemy! Tylko z tym księciem porządek zrobimy! Czekaj stary chwileczkę...

(BOB: postawił już beczkę obok na ziemi).

JACK: (Do Boba wesół, wskazując na indyanina:) Potrzyj mu na mu łapki z tyłu i skrepuj... o tak...

(BOB: rzucił się ku indyaninowi „Białemu Sępowi” i złapał mu ręce z tyłu. — TOMMY: zajęty obwiązywaniem wielkich pętli sznurowych koło szyi i koło kolan nieboszczyka na stole. — SIOSTRA DENIZA i ANGELIKA patrzyły od chwili z oburzeniem na marynarzy. Teraz po-

woli zbliżają się ku nim. — INDYANIN szamocze się i wrywa. — BOB: żelaznymi rękami spiął mu ręce w tyle. — JACK: zamaczał pędzel w beczulce smoły i już wyciąga pędzel oczekujący czarną mazią).

BOB: (Sapiąc z wysiłku:) A to co?... Będiesz się wrywał ty... Będziesz tu jeszcze ceregiele wyprawiał?...

Helena Romer-Ochenkowska.

Nowela.

SPUŚCIZNA.

2

I cieszył się stary, pamiętny dwór, że znów zabrzmi w nim piosnka ullańska... aż oto... Ocknął się pan Łaniewski z myśli, omotujących go, jak gęsta, miękka pajęczyna, oddzielająca go od całego świata.

Zamyślał się tak często słodko nad tą prawdą radosną, że oto Janek spełnia swój względem starego, rodzinnego dworu obowiązek, i względem pól tych, i borów, i łąk, i chat siwych, i ludzi ciemnych, i względem niebieskich jezior, i względem całej ogromnej przestrzeni ślicznego kraju spełnia swą służbę i powinność.

„Jam jej dał pot każdodzienny, on dał jej krew z pod serca” pomyślał — „żyzną będzie ziemia polska”...

Obejrzał się w koło mimowoli, jakby mu się zechciało dojrzeć, jaki to plon wschodzący z takiego posiewu. Ale wjeżdżał właśnie w najokrutniejsze ślady wojny.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się w potworny zygzak okopy, które popruły pola i łąki, sięgając aż do wnętrzości ziemi.

Żółte, jałowe piaski, kamienie i kłody leżały wywalone na jaw, jak trzewia zamordowanego smoka. Dziwnie bezmyślne były owe ciche teraz i osypujące się pod wiosennymi wodami konstrukcje. Cały ich uczony, matematyczny rozum wydawał się bez sensu, tak bardzo był w sprzeczności z potrzebą i rozwojem otoczenia. Wtargnęło oto coś w te ciche bory, rozłożyło się milami, ziało ogniem dniem i nocą, i umilkło, a rany, ciosy, zadane ziemi, zostały niezgojone.

Pełne były brudu i śmieci te schroniska ludzko-zwierzęce, suma doświadczeń jaskiniowca i technika inżyniera.

Walały się różne odpadki, resztki gospodarstwa codziennego życia, zostawionego na pamiątkę, jak nawet w obliczu śmierci człek nowoczesny jest śmiesznie skomplikowany i drobnostkowy.

JACK: (Szybko:) Wyciągaj mi kordelas z za pasa... pędko... i trzymaj łapki... Tak... Czekaj... Teraz przejadę po ząbkach ludożerce... (Podniósł rękę z pędzlem i już zamachnął nią:) Czekajże ty...

(W tym momencie szybko zbliża się SIOSTRA ANGELIKA i DENIZA).

Dokończenie nastąpi.

Czasami sterczał krzyż z dwóch dragów sosnowych nad żółtawym kopczykiem, czasami kilka takich; porowach widniały kości końskie, z lewej zakopanej padliny wydzieliał się nieznośny odór, rozwlekany przez szemrzące wiosenne strumyczki.

„Woda to tak zatrupili, że i pień nie możesz, wszystka śmierdzi” ozwał się milczący woźnica (może zresztą mówił co pierwsi, ale pan Łaniewski nie słyszał), „a z żyta to nie wiem, jak ten chleb będzie?... Strach co narodu na polach pochorwanego leży. Czy to, przepraszam pana, nie grzech? Tak, jak z cmentarza nie równując?”

— Chyba że nie grzech — odparł pan Łaniewski — ale możesz księcza spytać.

— Proboszcza?... a niema tymczasem żadnego, tuż nikt nie mógł już zostać, wszyscy uciekli, tylko my pierwsze wrócili.

— Ty kto?...

— A Bożesz mój, nie już pan mnie nie poznał... prawda, że zholdał na czysto, takiej hory zaznał... ależ i panu bieda... musi jeszcze gorzej, jak nam prostym ludziom...

— Hasciło? Nie poznałem, zmęczony jestem, a i zczerniałeś jakoś, prawda.

— Och panoczku, było z czego... w lesie w jednej koszuli siedzieliśmy w ziemi, i w gałęziach, i pod ogniem, i jeść nie było czego... wiadomo, wojna.

— Czy u was spalono?

— A jakże nie spalono? Toż pod samym Łaniewem, jak było we dwór jednego dnia, tak drugiego w wioskę, i tak, co tam spaliło się, to zaraz i u nas... och, ludzie doświadczyli — pokreślił głową — och, doznali! Spojrzał z ukosa na pana Łaniewskiego, który siedział ze spuszczonej powiekami. — Pan musi chcieć do dworu zajechać?

— Do jakiego dworu?

— Do łaniewskiego...

Spojrzał w chłopca z takim wyrazem rozpaczony w nagle rozwarłych oczach, że ten odwrócił głowę.

— Przecie dworu niema — rzekł głucho — spalony.

— Spalony to spalony... ale ja myślał, że na miejsce...

— Nie, zajedź do wioski...

— Niema wioski...

— A gdzież żyjecie?

— W ziemiach, a niektóre, trochę ściany, co niespalone, umocowali i tak siedzą.

— Więc właśnie, zajedziesz, ja pójdę na cmentarz i za godzinę pojadę z powrotem.

— Ahaaa... Pan znaczy się tylko na cmentarz... — westchnął, obejrzał się i spytał ciszej — przepraszam jaśnie pana, co powiem... ci prawda to, co mówią... że nasz panicz zabity?... Gdzieś... w Polsce?...

Łaniewski podniósł ku mówiącemu dłoń, jakby chciał wstrzymać w locie słowa okrutne, słowa-sztylety! O Jezu, każdy więc człowiek na świecie żywym usty pytać będzie mógł o taką rzecz, mówić o niej, roztrząsać, wiedzieć na równi z tysiącami innych głupich i pospolitych rzeczy, kiedy ta wieść, ta świadomość jest przecie taka, co zabija, co nie ma sobie równej, jest najświętsza i najokrutniejsza na świecie.

Zaległo milczenie, chłop westchnął bardzo ciężko i zdjawszy czapkę, zaszeptał: „Wieczne odpocznienie“.

Jechali dalej milcząc, Haściło tylko postękiwał na konia, dodając mdlejącej z wysiłku szkapie animuszu; nawet w miejscach zbyt już przepaścistych, kędy ziemia, jak smoła, oblepiała zapadające koła, zlażył z kałamaszki i brnął, skacząc ciężko, by wybrać suchsze przejścia. Zamyślonemu sennie panu Łaniewskiemu wpadło mimo woli w uszy wołanie:

„Raszyn, uch ty, Raszyn!“

Podniósł oczy i wpatrzył się w konia: to jego Raszyn, ta ostrokości-szkapia, kulawa na tylną nogę i potrząsająca łbem? Tak, poznaje mimo wynędznienia rasowe kształty chlebem i cukrem karmionego żrebaka, nazwa zresztą... wszak takie dawały wierzchowcom młodzi kole-dzy Janka, przyjeżdżający z nim na wakacje, wybierając sobie konie ułańskie...

— Haściło, a ty skąd masz tego konia? Toż to Raszyn?

— A jakże pan, Raszyn-że — i jego trudno poznać; znaleźli my jego na łączce, chodził koło ogrodu na trzech nogach, bardzo wielka dziura miał w boku i oka ze wszystkim wypłynęła, to i rzucili, do boju znaczy się nie zdalny; to my jego wzięli,

przekarmili i teraz ot wozim to, to, to sio, zawszeż koń... ale czy pan?... wiadomo, on że pański, nie nasz?

Dużo było niepokoju w pytaniu tego ojca rodziny. Pan Łaniewski je zrozumiał. Pierwszym jego odruchem było dać parę rubli odszkodowania i poprosić, żeby też tu, na miejscu, ktoś się zlitował i w łeb palnął szkapie, ale się zawstydził tych nerwów i sentymentów i pomyślał: żyje... niech służy.

— Ja go tobie nie odbiorę, miej sobie...

— Ot i dziękuję panu; oho, teraz koń to złoto, so takie, co same orzo, ciągną socha, a nam ot jak poszczęściło się. Naorze on nam chleba, uch kosiulka, kopaj się — wrzasnął radośnie.

Uspokoiło go to do gawędy. Nie zważając na milczenie dziedzica, rozwlekle zaczął opowiadać o losach ludzi i rzeczy. Od czasu do czasu rzucał pan Łaniewski nazwisko jakieś i znów słyszał historię bezgranicznie smutną, spokojnym, zrezygnowanym głosem opowiadaną. Zwykle kończyły się te epizody ciężkim westchnieniem, słowami „wieczny jemu pokój“ i „a co zrobić? A dlatego żyć trzeba“. Słowa te padały na świadomość pana Łaniewskiego to jak zgrzyt, to jak dziwne pytanie: żyć trzeba? A dla czego? Dla kogo i po co, on np., ruina, jakich tysiące w kraju, ma żyć? Umrzeć mężnie, na stanowisku, to potrafi; tego chciał, na to był przygotowany, widząc zagładę kraju i ludzi; wkoło, pragnął zejść z pola wśród tej zawieruchy w kulminacyjnym momencie jej napięcia. Nie chrocił się przed niczem i nikim — uległ przemocy wojennej, która go wygnała ze dworu w lochy piwnic, a z nich, z pośród gruzów, pod którymi przysiadł był sobie poledz, wynieśli go w las i dalej, dalej... Przeklinał w duszy tych, co go więzili, tych, co mu nie dali tam umrzeć, gdzie chciał, och i nadewszystko tych, co go odratowali po to, o Boże! by tę wiadomość, tę wieść o Janku posłyszali...

Pocóż się stał ten absurd, że on, stary, zjedzony życiem człowiek, gotowy na śmierć, bo już by tylko to dobrze potrafił spełnić, istnieje oto i trzęsie swe niedoleżne kości i szumiącą jeszcze od kontuzji głowę pośród tych pól lśniących błękitem wiosennych wód i że jemu to, nie im, młodym, których ciała użyźniają polską ziemię okropną zgnilizną, jemu najniepotrzebniej śpiewa jakieś nieustraszone ptaszę pieśń wiosennego odrodzenia. Wszak tylko młode drzewo potrafi rany swoje nowymi na wiosnę ożywić soki, i zalać, zabiżnić odcięcia — stare musi uschnąć. W tem skomplikowanym, nowym życiu

niema dla niego miejsca; ani mu pod ręką sprzęt starodawny, kochany, otaczający go od dziecka tradycją wielu pokoleń, ułatwiający samym nastrojem rozwiązanie zagadnień społecznych; ani mu przed oczami księgi, czekające wzroku, co ze czcią na nich spoczywał i brał w duszę ich przykazania... Ten cały świat — raj, zamknięty krąg dobrobytu, tradycji i pogodnej harmonii z otoczeniem, zapadł gdzieś w nicość. Myślał przebiegał te pokoje, których już wcale nie było na świecie, jakby nigdy nie istniały. Może się śniły takie pełne czeczotkowych, inkrustowanych czarnym dębem mebli, o ścianach zawieszonych zbroją i portretami, o puharach złocistych, o gdańskich bufetach, o szafach pełnych chwalebnych, rodzinnych papierów. Wszystko to, jak koncha otaczała mieszkańców, żyło z nimi, potęgowało ich życie — być może, niejednemu dało siłę wytrwania mocą swych niezniszczalnych wspomnień. Dziś nie było już z tego nic.

Ręka jakaś nieubлагana usunęła to wszystko z przed człowieka — postawiła go samotnego, jak w dzień stworzenia, wobec starganego wojną świata, i moc jakaś rzekła: Idź...

Poszedłby!... Jak Bóg na niebie, jeszczeby mimo to wszystko poszedł! Już może nie swoim życiem, ale jak cień, jak towarzysz, za wiodącą w przyszłość młodocia syna.

W nim, w nich, była siła i moc, urągająca pozornemu zniszczeniu drogiej starcom przeszłości. Oni w tem, co *będzie*, czerpali otuchę, a źródło to było nieśmiertelnie żywe i obfite. Ojcom murującym sobie fortecę ducha z tego tylko, co *było*, cóż pozostawało, jeśli nie legli pod gruzami?...

Gdybyż prędzej!... Zdawało się panu Łaniewskiemu konieczne, że drogą tą wracać już nie będzie. Że przecie za tyle męczarni zlituje się los i ześle mu na tym cmentarzu, na który jechał, śmierć, przywoływaną tyle razy.

Dalszy ciąg nastąpi.

*

*

*

*Zwołną dogasa róża w kielichu,
Zmrok letni już się po ścianach przedzie,
Chodź, będziem sobie marzyć po cichu
O tem, co nigdy nie będzie.*

*To, co się stać ma, samo się stanie,
Po co wybiegać w przyszłość daremnie:
Wiem, że nas wkońcu czeka rozstanie,
Wiem, że zabiorą ciebie ode mnie.*

*Wolę więc marzyć choć chwilę krótką,
Że jesteś moja, żem ci jest drogi,
I w zachwyceniu błogiem cichutko
Całować twoje najdroższe nogi.*

Artur Chojecki.

Maksio na wizycie

(Bardzo komiczne).

Maksio, zaproszony solennie w tramwaju, wybiera się do pań Pszypszytyckich z wizytą. Jedna stacya za Warszawą — nawet „szajnu“ nie potrzeba. Ale dwie panny domowe, więc trzeba coś zawięść.

Ale co?

Cukierków? Drogo. Ciastek? Kwiatów? Również drogo.

Do licha, co się wogóle jeszcze wozi, gdy się jedzie do domu, gdzie są młode panienki? Maksio wyszedł zupełnie z wprawy. Piętnaście miesięcy zgóra nie był nigdzie z wizytą!

Może coś z artykułów spożywczych: sera szwajcarskiego, pudełko sardynek, buteleczkę Cabul'u? Ej nie, to zbyt realne... Zresztą — ceny, ceny...

Prawda! Coś duchowego może? Dla każdej z panienek po książeczce. Chyba pannom można ofiarowywać książki? Cukierki, kwiaty, fotografie można, to pamięta, więc i do czytania również... To nawet ma wdzięk oryginalności. No i książki wcale „nie skończyły“...

Maksio chce iść do księgarni, spotyka jednak księgarnię po drodze, bierze więc dwie sztuki i jedzie.

Ofiarowuje zaraz po przybyciu.

— Ach, to na ulicach rozdają! — wołają panienki.

Maksio się zachnął.

— Tak, ale się płaci — — —

Gryzie się w język, żeby nie palnąć bagatelnej ceny.

— Na jaki cel ten „kwiatek“? — zapytuje poważnie mama, gotowa już sięgnąć do portmonetki.

— Ależ, proszę pani, to ja — — —

— „Skarb Warszawy“! — odczytuje z zachwytem tytuł jedna z panienek.

— Moje to samo! — krzyczy druga. — Czy to bardzo ładne, proszę pana?

Maksio roni przekleństwo siarczyste w duszy i pieczę raka po sam kołnierzyk. Zresztą, dość czysty — mimo drożyzny prania...

I zaraz myśli, coby powiedzieć? Coś ciekawego, sensacyjnego... Jakąś ostatnią wiadomość...

Spogląda na białą, lśniącą szyjkę jednej z panienek. Już ma!

— Mydło w Warszawie już po czterech ruble funt! — wykrzykuje z ulgą...

— Tak... — wzdycha głęboko mama. — Farbka też zdrożała.

Chwila ciszy, jak na Nowym-Swiecie w popołudnie niedzielne.

Starsza panienka rzuca wzrokiem zachwycenia na nogi Maksia.

— Jakie pan ma śliczne zelówki!

Maksio znów się czerwieni. Tym razem z dumy. Specjalnie na wizytę sprawił sobie nowe, całe podkute, nablane gwoździemi. Jak mur!

— Dziewięć rubli dałem.

Podnosi chętnie do góry głowę i obie nogi.

— Moje buciki też tak stukają! — zrywa się i przebiega po pokoju jedna panienka, za nią druga. Narobiły hałasu za cały hufiec skautów.

— Pan pozwoli na herbatkę — za-

gaja po chwili mama, która też pokazała była swoje zelówki.

Maksiowi te słowa wydają się czemś czarownym — echem bajki, zasłyszanej w dzieciństwie.

„Na herbatę“... Mój Boże!

Stół zastawiony, aż się ugina.

Kiedy ja taki widziałem?... — wzdycha Maksio.

Sześć, osiem, dwanaście rubli conajmniej — oblicza w myśli. Zamożne panienki!

Zabiera się do jedzenia, ładuje bez miary...

Ojej, ile to rachunek wyniesie!

— Pan będzie łaskaw jeszcze kawalek — — —

— O nie, dziękuję pani, ja już za trzy ru — — —

Po raz drugi gryzie się w język. Sapristi, jak to trudno teraz na wizycie...

Wstali od stołu.

Salonik. Pianino. Nowiuteńkie, aż się śmieje...

— Pan gra?

— Na hamburskiej, węgierskiej i o-piekuńczej! — recytuje Maksio.

— Ale na fortepianie?

— Ach... nie, proszę pani! A panie?

Panienki zawstyżone pokazują jedna na drugą. Jedna chce, druga nie chce, ta znów chce, to tamta znów — — W końcu obie chcą.

Ale co? Co mają zagrać?

— Co w Warszawie teraz najwięcej grają, proszę pana?

Wiktorya Cross.

Najwyższe prawo.

6

Dora nigdy nie mogła zapomnieć tej chwili i często stawiała jej ona przed oczyma. Zwieńczony puszystymi palmami pagórek przydrożny, ześlizgujące się po nim blaski księżycy, niespokojny, biały arabczyk i te dwa kragle, gładkie ramiona, z opadającymi z nich luźno przezroczyście rękawami, wyciągające się ku niej.

Hamakhan wypuścił konia w skok. Pomknęli. Białe, piaszczyste gościniec uciekał z pod kopyt wierzchowca, w górze po usianem gwiazdami niebie płynął majestatycznie księżyc. Dla utrzymania równowagi Dora musiała opasać ramieniem tors młodzieńca; typowy, wschodni tors, silny i sprężysty a przytem szczupły i giętki.

Pathańczyk uczył i zobaczył to białe, delikatne, dziewczęce ramię, obwinęte niby powój dookoła niego, i krew zawrzała mu w żyłach. Zwalniając cugle arabczykowi, przechylił głowę w tył tak mocno, że Dora ujrzała jego twarz napiętą nie-pohamowaną namietnością Azyaty.

— Najwięcej pokera!

Pomyłka Maksia wnet się wyjaśniła.

Ale i to nie pomaga. Niema modnego walca, niema żadnego tańca modnego! Okropne czasy!

Znów zalega cisza. Już chyba statnia...

Maksio czuje, że na zakończenie jeszcze trzeba powiedzieć.

Kręci się na kanapie i myśli:

A możeby tak to, że komornik ma prawo w tych czasach robić zajęcia i za mieszkanie trzema płacić i za kasę?

Ale czy je to zajmie? Może to zbyt powszednie?

Widzi jednak wyraźnie na ich twarzach, że i one pragną coś powiedzieć choćby coś — usłyszeć!

Chwila jest brzemienista.

Nareszcie — błyska Maksiowi w głowie.

— Jak panie myślą: kiedy się wojna skończy?

Ożywia się w jednej chwili.

Troje ust zgodnie i uroczyście świadcza, że nie wie.

Maksio wiedział, co należy powiedzieć!

Powstaje więc z dumą, żegna się paniami Pszypszytyckimi i wraca do Warszawy, w przeświadczeniu, że godnie wypełnił swój dżentelmeński obowiązek że się świetnie zabawił.

B. Górczyński.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

POWIEŚĆ

Niezdługo gładkie, kragłe kołpaki i nierówne dachy zamajaczyły przed nimi; arabczyk zwolnił biegu i wjechali w cichą uliczkę krajo-wego miasta. Było dopiero po północy, ale w bazarze i innych budynkach pogaszono już światła i zachodzący księżyc rzucał nikłe smugi na ciemne ściany i pozamykane drzwi okna, koło których przejeżdżali. W jednym oknie jednak świeciło się.

Hamakhan osadził konia przed tym domem, zeskoczył, porwał Dorę i postawił na ziemi. Z ciemnych drzwi wyszedł krajowiec; przemówił kilka słów do Hamakhana, po-czem ten zwrócił się do Dory, oto-czył ramieniem jej szyję i weszli do boje do wnętrza.

Ciemno tam było zupełnie. Hamakhan poprowadził Dorę po parę stopniach na dół do niskiej komnaty, w której płonęła wisząca lampa. Znajdowało się tam parę sofek, poduszki i niziutkich stoliczków, rozstawionych na zaściełających podłogę kilimkach. W głębi za kotarą był drugi pokój, mały, bez okna, z twardą

Chetai-Wallah u siebie.

Indyjskie, południowe słońce świeciło bezlitośnie nad szerokim, zakurzonym i białym w jego oślepiających blaskach gościńcem Brishamguru. Tu i owdzie mała daktylowa palemka lub papajowe drzewko rzucały dobroczynny krąg cienia, w którym odpoczywały odprężone od wozów białe byki, a ich woźnice siedzieli obok ze skrzyżowaną nogami, gawędząc wesoło.

Z jednej strony gościńca ciągnęła się rząd krajowych chat, małych lepianek, o trzech ubitych twardo z gliny ścianach i spadzistym dachu. Czwartej ściany brakowało; front chaty stał otwarty na drogę; ale przed każdym znajdował się rodzaj letniego ekramu, czy parawanu, który mógł zasłonić cały otwór, czy to nocą, czy podczas spiekoty południa. Wszystkie chaty stykały się prawie ze sobą i ciągnęły na znacznej przestrzeni gościńca, wiodącego do krajowego miasta. Stawawszy pośrodku, można było widzieć w oddali odrzynające się na tle nieskazitelnej błękitu pomieszczone ze sobą zarysy budynków, piętrzących się jedne nad drugimi, oplątanych niby siecią leciutkich balkoników i kręconych, zewnętrznych schodów, po których przechadzały się białe gołębie, błyszcząc w gorącym, żółtym świetle słońca.

Tuż pod miastem wznosiła się duża kepa cienistych, daktylowych palm; a w kręgu tego cienia szumiała kamienna cysterna i migotały, niby wielkie kwiaty, białe opończe i barwne turbany krajowców, odpoczywających tu chętnie w malowniczych pozach dokoła ocembrowania cysterny, śmiejących się i gawędzących wesoło, jak młodzi ateńczycy za czasów Arystofanesa.

Wnętrze lepianek przedstawiało się również malowniczo; przeważnie były one bardzo czyste, wysłane matami, zaopatrzone w tapczany lub derki po kątach. O tej porze dnia są one wszystkie otwarte, a w każdej siedzi po parę krajowych kobiet: jedne karmią niemowlęta, inne przykucnąwszy na progu gawędzą z sąsiadkami, podczas gdy dzieci ich bawią się w gorącym pyłe gościńca. Tu i owdzie naczynie w hookach (nargilem) stoi na progu, a kobiety, oparte plecami o ścianę, zaciągają się leniwie, mrużąc oczy w oślepiającym, słonecznym świetle. Większość mężczyzn nie wróciła jeszcze z różnych, dziennych zajęć, ale ci, którzy wrócili, gawędzą podobnie, jak kobiety, z przyjaciółmi, oparcą o ściany chat.

zapamiętania się w jej urodzie. — Moja biała twarz i nogi będą zwracać uwagę.

— Tak; ale pomyślałem o tem — odrzekł Hamakhan i przyniósł z kąta parę modnych, brązowych, europejskich bucików.

— Dostałem je w bazarze. Nasze kobiety często takie noszą. Włóż je.

Dora wsunęła swe białe stopki w buciki i palcami pozapinała guziczki.

— To angielskie obuwie psuje cały ubiór — rzekła — i raz przy nim. W domu, u ciebie nigdy ich nosić nie będę.

— Bo i nie potrzebujesz — odparł Hamakhan. — A teraz osłonie ci twarz i głowę.

Wziął z tapczana cieniutką, przezroczystą, muślinową zasłonę i opasał nią czoło Dory. Mogła widzieć przez nią, ale to nie było wszystko. Na to nałożył płócienny, biały kwef, osłaniający zupełnie głowę i opadający z przodu aż do stóp, z dwoma tylko otworami na oczy. Teraz była poniekąd jak w pochwie, ale nawet w tem obatuleniu nie zatraciła wdzięku i wiotkości swej postaci.

— Hama drogi — rzekła zaśmiały się. — Co to będzie, bo tak mi gorąco, że się poprostu duszę i prawie nic nie widzę.

— To nic, to nic — odparł Hamakhan, ujmując ją za rękę. — Pójdź prędko; już i tak za długo tu marudzimy.

— Lepiej będzie zabrać stąd moje rzeczy, żeby śladu po sobie nie zostawić; a te perły, które miałam na sobie, są bardzo cenne — rzekła Dora, podnosząc zasłonę. — Pozbieraj to wszystko, Hamakhanie.

Pathańczyk wyjął ze stánika perłowe spięcia i oddał je Dorze.

— *Ruk!* (weź) — rzekł rozkazując, poczem zapakował atlasową suknię, koronkową spódniczkę, jedwabne pończochy i pantofelki w jedną z opończy i trzymając zawiniątko w jednej ręce, drugą podał Dorze i wyprowadził ją z izby.

Ale w sieni przystanął jeszcze; uchylił zasłony i pocałował Dorę, i tak pod mużulmańskim welonem spotkały się angielskie i indyjskie usta; a było to w chwili, gdy goście namiestnika zasiadali do kolacyi.

Na ulicy Hamakhan chwilę jeszcze rozmawiał we drzwiach z przyjaciелеm, a Dora czekała przy arabczyku.

Poczem wsiedli oboje i wskroś dyszącej skwarem nocnej ciemności zawrócili w stronę Naupuru.

do ubita, glinianą podłogą, o powapnionych na żółto ścianach i niskim tapczanie w kącie. Gdy Hamakhan wszedł tam z Dorą, piękna, panna rozejrzała się wokoło. Izdebka podobną była kropla w kroplę do tej, w której poprzednio mieszkał Hamakhan, i do tej, którą teraz mieli dzielić ze sobą.

Hamakhan rzucił jej przeciągłe, nieśmiało pytające spojrzenie. Dora zrozumiała jego milczącą wymowę i zarzuciła ramiona na szyję pięknego indyanina.

— Każdy dom staje się pałacem, gdy w nim król zamieszka — rzekła, a pochlebstwo to mile polectało wrażliwy i próżny wschodni umysł. Hamakhan uśmiechnął się i wskazał na leżące na tapczanie batysty i jedwabie.

— Może obejrzysz te szaty i — — i — —

— I ubiorę się w nie? — dokończyła Dora ze śmiechem i podeszła do tapczana, wlokąc za sobą po glinie swój biały, atlasowy tren. — Dobrze; zaraz zobaczę.

Hamakhan w wyborze ubrania dla Dory dał dowód wrodzonego krajowcom smaku i sprytu. Składało się ono z krótkiej, kwadratowej żuawki bez rękawów z przezroczystego muślinu, lekko zahaftowanej błękitnym jedwabiem; pod to szła jakby Europejska koszula z gęstszej tkaniny i z długimi rękawami; następnie para luźnych, kobiecych szarawarów; wreszcie dwie ciemne chuddah (opończe) jedna zielona a druga granatowa.

Na ogół strój ów był równie estetyczny i miły dla oka, jak te atlasy i koronki, które Dora miała na sobie. W ciągu kilku minut z gorączkowym pośpiechem, bo obawa pogoni wciąż wisiła nad nimi, Dora przebrała się i stanęła przed Hamakhanem już nie jako śliczna, angielska panna, ale jak piękna mużulmanka. Białe, białe stopki na glinianej podłodze, obszerne, ciemno-szafirowe szarawary, muślinowa koszula i haftowana żuawka, a nadtem śliczna twarzyczka, błękitne oczy i złociste, saksońskie włosy.

Dla tego mężczyzny, którego rasa tak bardzo ceni jasną karnację w kobiecie, że cena żon normuje się względnie do bledszego lub ciemniejszego zabarwienia skóry, ten saksoński koloryt stanowił nieprzeparty urok. A w dodatku Dora nawet na angielską była wyjątkowo delikatną blondynką, o śnieżnej poprostu karnacji, więc ten Pathańczyk nie mógł poprostu oczu od niej oderwać.

— A co teraz, Hama? — zapytała uśmiechając się na widok jego

W niektórych chatach mieszka-
ją sam; mężczyźni, zwykle uprawia-
jący jakieś wspólne rzemiosło. We-
soło, pogodnie i barwnie ruszała się
ta gromada ludzkich istot w blaskach
popołudniowego, indyjskiego słońca.

Jedna z chat, przedostatnia w
rzędzie, miała jakiś pogodniejszy i
barwniejszy wygląd, niż inne. Maty
na podłodze były nowe i zielone;
ściany czyściutkie i suche; pod jedną
z nich stał szereg błyszczących mo-
sieźnych naczyń; duży żagiel we-
tknięty w otwór w dachu chłodził po-
wietrze; ekran wnijsciowy był w
trzech-czwartych zasunięty.

Tuż za nim, wsparta na białym
łokciu, leżała Dora w muzułmańskim
stroju, zlekka poruszając wachla-
rzem z piór nad miską rozżarzonych
węgli. Bose, białe nóżki miała wy-
ciągnięte i założone jedną na drugą;
złociste włosy, skręcone w luźny wę-
zeł, zwieszały się na plecy, a błękitne
oczy, bardziej błyszczące teraz, niż
kiedykolwiek, tkwiły w rozslonecz-
nionych kłębach gościńca, wiodącego
do miasta.

Hamakhan poszedł tam na robo-
tę i nie było go przez cały dzień, a
ona teraz oczekiwała jego powrotu.
Nareszcie jej bystry wzrok dostrzegł
w oddali szkarłatną plamę turbana i
Dora skoczyła na równe nogi. Trzech
wyplataczy mat szło środkiem go-
ścińca i Hamakhan znajdował się
pomiędzy nimi.

Dora, gdyby tylko słuchała po-
pędu swego serca, byłaby pobiegła
na spotkanie ukochanego i rzuciła
mu się w objęcia po całodziennym roz-
łące; ale wiedziała, że to nie zgadza-
ło się z przepisami przyzwoitości te-
go indyjskiego środowiska; czekała
więc tuż za progiem z piersią wzdę-
tą rozkoszą oczekiwania i przebiera-
jąc białymi nóżkami na miejscu z
wielkiej niecierpliwości. Patrzyła na
niego, jak szedł pośrodku smukły i
wysoki, z nieopisanym wdziękiem a
powagą zarazem; poczem zobaczy-
ła, że odrzucił w tył głowę i zaśmiał
się z czarującą pustotą swej wiośnia-
nej młodości.

Nareszcie trzy wesolo gawędzą-
ce postacie w czerwonych turbanach
podeszły tuż, i Hamakhan, skinawszy
niedbale głową towarzyszą, odłą-
czył się od nich. Rzucił pod ścianę
chaty zrywający pęk palmowych
włókien i otworzył oba ramiona w
szerokich rękawach z uśmiechem na
swej młodzieńczej, zakurzonej i zmę-
czonej twarzy. Dora wpadła w te
rozwarłe objęcia, jak gołąbka do
gniazdka, i dała mu się całować w u-
sta i szyję, całując go nawzajem
poczem poszły w głąb chaty, gdzie
drugi ekran z mat tworzył rodzaj
przepierzenia.

Znajdowała się tam druga, mniej-
sza izdebka o kwadratowym, nieo-
szklonym okienku, pod którym stał
nizki tapczan. Hamakhan rzucił się
nań w poprzek z widocznym znuże-
niem i odwinął szkarłatny zawój ze
spoczonego czoła.

Dora przyniosła z kata duże,
mosiężne naczynie napełnione wodą
i usiadła na ziemi u nóg męża. Bar-
dzo delikatnie, w sposób, jakiego je-
dynie bezbrzeżna miłość i poświęce-
nie uczy, ujęła brunatne, zakurzone
stopy w swoje białe dłonie i zanurzy-
ła je w wodzie, poczem odchyliwszy
się trochę na bok, oparła swą złoto-
włosą głowę o kolana Pathańczyka i
wpatrzyła się w niego.

— Musisz być bardzo zmęczo-
ny, już ja to widzę — rzekła tkliwie. —
Ach! co ja bym za to dała, żebyś nie
potrzebował pracować.

— O! praca to nic — odparł Ha-
makhan ze słoneczną rezygnacją
azyaty. — Nie jestem nawet bardzo
zmęczony; tylko nogi mnie boją.

Dora obmyła starannie musku-
larne a przytem gładkie jak atlas i
kształtne stopy i wytarła je przewie-
szonym przez ramię ręcznikiem; po-
czem w nagłym przystępie tcliwości
pochyliła się i ucałowała je.

Pathańczyk zaśmiał się nie zmie-
niając postawy, podniósł Dorę z zie-
m i posadził ją obok siebie na tap-
czanie. I pozostali tak długo, przy-
tuleni do siebie w uścisku, w którym
nie było namiętnego wrzenia krwi, a
tylko cudowna tcliwość, będąca naj-
wonnejszym kwiatem miłości.

Hamakhan przymknął oczy i
pierś jego podniosła się westchnie-
niem głębokiej ulgi.

Allah istotnie był bardzo dobry.
Oto dał mu tu spokój, wytchnienie i
kochanie. On wracał do domu taki
zmęczony, spocony, z gardłem peł-
nem kurzu przydrożnego i pyłu su-
chych, palmowych włókien, jakiego
się przez cały dzień nałykał; oczy
go piekły od słonecznego blasku; a
ona, ta jego ukochana kobieta, była
taka świeża, czyściutka; jej białe,
chłodne ciało było tak wonne i taka
to była niewysłowna rozkosz móż
złożyć głowę na jej cudnem łonie i
zasnąć cichym, dobroczynnym snem
wytchnienia po trudach.

A Dora wół leżąc na tapczanie
lękała poruszyć się, by mu tego snu
nie przerwać i jej serce również biło
nieopisanym szczęściem i wdzięczno-
ścią. Posiadła przecież to, co „po-
siąść mogą jedynie wybrani, a czego
nieszczęśliwi zazdroszczą“, jak przed
wiekami określał miłość boską Plato.

Dalszy ciąg nastąpi.

Z literatury.

Dzieje porozbiorowe narodu polskiego.

Odczuwaliśmy brak podręcznika po-
pularnego, któryby w jasnej i przystęp-
nej formie dawał treść naszych „dziejów
porozbiorowych“. Znany popularyzator
p. J. Grabiec, napisał właśnie tego rodza-
ju książkę i wydał p. t. „Dzieje porozbio-
rowe narodu polskiego“. Rzecz pisaną
jest łatwo i zajmująco, ale autor na zja-
wiska historyczne patrzy pod tendencyj-
nym kątem widzenia. Tendencja ta jest
szlachetną, bo chodzi jej o demokrację
i walki nasze o niepodległość w dziejach
porozbiorowych, ale pomimo to rzuca
jednostronne światło na fakta i wydarze-
nia. Klasowość ujmowania nie sprzyja
wcale bezstronności, gdzie chodzi o losy
całego narodu. Interesujące są wywody
p. Grabca, dotyczące Śląska Opolskiego i
ziemi Poznańskiej. Książka p. Grabca
może być bardzo pożyteczną, o ile doda-
 się jej komentarz rozumnego wykładu
któryby zlagodził wszystkie jaskrawości
klasowe w stosunku do poszczególnych
działaczy przeszłości, jak i faktów. Wie-
je z niej bowiem tegi duch wiary w lep-
szą przyszłość dla naszego narodu, pro-
mieniaje nadzieja, którą uskrzydla ma-
rzenie o niepodległości. Marzenie to
obleka się obecnie w krew i ciało na po-
lach bitew. Nie zmożły nas stuletnie cię-
gi — jak żył, jest i żyje naród polski.

Giambattista Vico, twórca filozofii historii.

Prof. Michał Sobeski, autor „Uzasad-
nienia metody obiektywnej w estetyce“
znany już ze swoich studyów, jak „Prze-
dziwo Arachny“, „Interludya“, napisał
teraz charakterystykę filozofii historii
Giambattisty Vico. Antoni Lange dał
przed niedawnym przekład „Nauki No-
wej“ Vica, a więc charakterystyka So-
beskiego może służyć, jako doskonały
wstęp do studyowania tego dzieła. So-
beski umie bowiem zawile linie dowodzeń
Vica sprowadzić do zasadniczych pojęć
historyzoficznych. Z materiału rozważa-
jącego lingwistykę, socyologię, etnologię,
metafizykę wydestal Sobeski tylko te
ważkie pojęcia, które decydują o linii „na-
wrotu historycznego“. Podkreślił katoli-
cyzm jego, a z drugiej strony uwidatnił
rolę poznania i logosu, który w przy-
szłości stanie się fundamentem Heger-
lianizmu. By uzupełnić swoje studia na
Vicom, dał też prof. Sobeski w zarysie
„Metafizykę Libelta“. Tak „historyzof-
ię Vica“, jak i „Metafizykę Libelta“ prof.
Sobeski wykladał w Poznaniu na przygo-
dnych odczytach. Dobrze się stało, że
te odczyty wydano. Są one bardzo po-
żytecznymi pracami informacyjnymi,
którymi powinien zapoznać się każdy
człowiek, mający zamiar studyować Vi-
ca, lub też poznać świat jego idei w stre-
szeniu.